



A gdyby  
szeptucha  
założyła biuro  
matrymonialne?

# ONE TEMU WINNE

MARTA  
URBANIAK  
PIOTROWSKA

BUKOWY LAS



## *Rozdział 1*

Cięcie nie było precyzyjne, chociaż dotyczyło serca. Może dlatego, że nożyczki były tępe, a do tego drżały jej ręce. Jej ruchy były sztywne, a ciało skostniałe. Ostrza sunęły ciężko i nierówno. Czuła mięsistość tego, co pod nimi. Ciach, ciach – rozcięła pachy, ciach – rozerwała karczek. Na dekolcie nożyczki nagle się zatrzymały. Nie miała wyjścia, musiała go rozpruć rękami. Z całych sił zacisnęła zęby i przymknęła powieki. Oddychała przez usta. Szarpnęła, ale na próżno. Spróbowała mocniej. Skrzywiła się, gdy usłyszała syknięcie. Kiedy otworzyła oczy, musiała wstrzymać oddech. Jątrzyła się przed nią rana najeżona rzędem wystających włókien.

Poczuła, że ją mdli, ale zaraz potem w jej brzuchu rozlało się gorąco. W żyłach zabuzowała satysfakcja.

Chciała więcej.

Potrząsnęła dziko głową, aż ciemne pasma opadły jej na twarz. Dyszała. Od plastikowej, niebieskiej rączki kuchennych nożyczek zrobił jej się odcisk na dłoniach, a z palca wskazującego prawej ręki odpadł kawałek lakieru w bezpiecznym odcieniu nude. Na serdecznym palcu lewej wciąż pobłytkiwał niewielki brylant. Jego blask nagle zaczął razić ją w oczy. Ściągnęła pierścionek zębami i splunęła nim daleko

w przestrzeń. Upadł pod doniczkę z monstera i z brzękiem potoczył się po elegancko olejowanym parkiecie w kąt salonu, tuż pod minimalistyczną japońską lampę z papierowym abażurem. W świetle żarówki jego blask stał się nie do zniesienia. W jej brzuchu jeszcze silniej zapłonęła kula ognia. Odwróciła wzrok i znów szaleńczo cięła. Skrawek po skrawku opadał na ziemię. W jej skroniach pulsowało. Oddychała szybko. Nie widziała nic poza oślepiającą bielą.

Po chwili cała podłoga usłana była ścinkami. Przypominały jej płatki jaśminu, które ścielą się na chodnikach pod koniec wiosny. Tak samo jak one – do niczego nie mogły się przydać, choć wciąż odurzająco pachniały. W powietrzu unosił się obłok jej perfum – kobiecych i kwiatowych, choć z gatunku tych, od których potrafi rozboleć głowa. Oblizła ślinę w kąciku ust i jak dzikie zwierzę głęboko wciągnęła zapach. Wyczuła w nim różę i tuberozę, a do tego trochę już zwietrzała, choć wciąż tak samo banalną nutę nadziei. Znów poczuła ognistą kulę, która uformowała jej się w brzuchu i pomknęła aż do gardła. Z całych sił docisnęła nożyczki, ale wtedy stawiały opór na fiszbinie wszytym w gorset, który miał jej zapewnić talię osy i miłość do grobowej deski.

To był ten moment, w którym zaczęła płakać.

Białe skrawki miękko opadały na ziemię. Nie było już długiej spódnicy z rozcięciem do połowy uda, która zmysłowo oblepiała ciało, choć trochę krępowała ruchy. Nie było góry z długimi rękawami i dekoltem w łódkę à la Meghan Markle. Nie było mięsistego, śmietankowego jedwabiu, z którego kreacja została uszyta – ciepłego w odcieniu, chłodnego w dotyku. Były za to strzępy, góra strzępów. Tak jak w strzępach było całe jej życie.

Tę suknię wybierała razem z Erykiem. Podobno z przyszłym panem młodym nie należy tego robić, ale on nie wierzył w takie przesady.

– Nie zostawisz mnie chyba w niepewności aż do ostatniej chwili? – Siedzieli na kawie w przeddzień jej wizyty w salonie.

Zdjął jej z ramienia niewidzialny pyłek, a potem poprawił kołnierzyk bluzki.

Kameralne atelier mody ślubnej wypełniało złociste światło, pachniało w nim palo santo, a z gramofonu sączył się miękki jazz. Wszystkie sukienki pokazowe były w rozmiarze trzydzieści sześć. Meg odruchowo wciągnęła brzuch.

– Może koronka? – Właścicielka atelier pomachała do niej wieszakiem z ażurową, półprzezroczystą suknią typu *naked dress*.

– Wygląda jak firanka. – Eryk skrzywił się i zamiast tego zdjął z wieszaka mocno zabudowaną kreację z nietoperzową górą i długimi rękawami.

– Szkoda ukrywać taką figurę... – Właścicielka atelier patrzyła to na niego, to na Meg. Poprawiła na sobie dzianinową sukienkę-tubę, która podkreślała jej płaski jak deska brzuch i sterzące piersi.

– Będzie bardziej stylowo. – Eryk powiesił suknię na adamaszkowym parawanie przymierzalni i przez ułamek sekundy złapał swoje odbicie w lustrze. Zaczesał do góry szpakowate, wypomadowane u barbera włosy. – Koniecznie zbluzujmy talię.

– To może baskinka?

– Baskinki są *passé*.

Mierząc kolejne wariacje na temat koronek i tiuli, Meg wiedziała, że od znalezienia tej jedynej zależy jej przyszłe szczęście. Wciągała brzuch, gdy trzeba było dopiąć suwak, i wciskała się w gorsety uszyte dla kobiet z biustem dużo mniejszym niż jej.

– Musimy odwrócić uwagę od dekoltu. W kościele nie wypada. – Eryk bez pardonu podciągnął gorset do góry, lekko miazdząc piersi Meg. Starła się nie oddychać, pełna obaw, że pajęcze szwy puszczą.

– To może odsłońmy ramiona? – Właścicielka atelier zsunęła rękawy sukienki. Przejechała palcem po wystającym obojczyku Meg. – A do tego delikatna kolia.

– *Démodé*. – Eryk nawet nie spojrział w ich stronę, tylko przeglądał sukienki. Wieszaki stukwały jeden o drugi. – O, tu mamy coś *au courant*.

Suknia, którą wybrał, była uszyta z wielu warstw zwiewnego, jedwabnego szyfonu w różnych odcieniach bieli, który miękko unosił się z każdym ruchem. To była kreacja stworzona do tego, by w jej towarzystwie zgubić kryształowy pantofelek. Meg zrobiła kilka nieśmiałych kroków do jazzowej wariacji w głośniku, a potem roześmiała się i zaczęła wirować w całej tej eterycznej bieli. Czuła się jak Kopciuszek, którego księżę za chwilę poprosi do tańca, a chłodne muśnięcia jedwabiu na skórze przyprawiły ją o dreszcze. Jej sylwetka odbijała się tysiącrotnie w kryształowym żyrandolu zawieszonym pod sufitem. Zamknęła oczy.

– Zbyt strojna. – Eryk znów poprawiał włosy w lustrze.

Właścicielka atelier spojrzała na zegarek i zaproponowała, że specjalnie dla Meg zaprojektuje zupełnie nowy model według wskazań jej narzeczonego. Taka usługa kosztowała Meg pół pensji więcej. Za to suknia była jak ze snu projektanta *haute couture*. Nie spodziewała się, że przyjdzie jej tak szybko się z niego obudzić...

Teraz ocierała łzy swoim jedwabnym marzeniem. Czuła, jak z każdym cięciem, z każdym ruchem tępych kuchennych nożyczek odcinała się od tego, co ją spotkało. Co nie było dla niej nawet nowe, a jednak za każdym razem równie bolesne. Co po raz kolejny pozbawiło ją złudzeń, że kiedyś będzie spełniona, szczęśliwa, w związku. Że będzie miała normalną rodzinę, jak wszyscy. Że ułoży sobie życie.

Cięła i czuła, jak wzbiera w niej kolejna fala szłochu. Pociągnęła nosem i nie była już w stanie jej zatrzymać. Zakrzuszyła się od płaczu, jakby była małą dziewczynką. W spazmach skuliła się na nieślubnym kobiercu utkany z szczątków sukni i płanów na resztę życia. Zakryła twarz dłońmi i chciała krzyknąć, ale nie miała czym. Jej klatkę piersiową wypełniał olów. Nie umiała powiedzieć, ile czasu trwała w takiej pozycji.

Nagle się otrząsnęła. Wzięła głęboki wdech, otarła łzy i odrzuciła włosy do tyłu. Zaczęła szybko zbierać jedwabne skrawki rozsypane po całym pokoju. Skrupulatnie, by nic jej nie umknęło. Zapaliła górne światło i z uwagą przyjrzała się podłodze. Zawinęła fragmenty materiału w popielatą spódnicę, którą miała na sobie. Nie mogły już tutaj leżeć.

Ślizgając się w rajstopach po parkiecie, zaniosiła je do łazienki i cisnęła do wanny. Skropiła resztką zmywacza do paznokci. Wytarła ręce o biodra. Kątem oka zobaczyła na spódnicy tłustą plamę po bitej śmietanie. Ją również skropiła zmywaczem, przez co materiał zaczął się odbarwiać. Zakłęła. Pobiegnęła do kuchni po zapalki, odpychając się od ścian. W przedpokoju potknęła się o szarobeżowe szpilki. Zakłęła jeszcze raz. Wróciła do łazienki, gdzie uspokoiła się ciepłym odcieniem piaskowca, z którego zrobiono olbrzymie kafle. Potarła zapalką o draskę i wrzuciła ją do wanny. Na krótki moment w powietrze wzbil się pomarańczowo-niebieski płomień. Jedwab zaczął się kurczyć, topić, pryskać, a w końcu powoli zgasł. Zapachniało palonymi włosami. Meg skrzywiła się i polała pogorzelisko wodą z prysznicą.

Osmolone strzępki wyglądały teraz naprawdę żałośnie, ale ona wcale nie poczuła ulgi.

• • •

*Parę godzin wcześniej*

Bąbelki cavy energicznie musowały, rozpryskując się Meg na nosie. Próbowwała je dyskretnie wytrzeć dłonią, co było trudne, bo czuła, że jest ciągle obserwowana. Przyszła teściowa czujnie śledziła każdy jej ruch. Co jakiś czas któryś z zaproszonych gości mierzył ją od góry do dołu, skanując w poszukiwaniu skaz.

Szarobeżowe zamszowe szpilki, które Meg wybrała na tę okazję, miały siedmiocentymetrowe obcasy. Klasyczne,

niezbyt wysokie, ale i nie niskie. W normalnych warunkach swoim stukotem dodawałyby jej animuszu i parę centymetrów wzrostu, co przy jej metrze sześćdziesięciu było nie bez znaczenia. Podłogę w salonie pokrywały jednak dywany. Miękkie i puchate sprawiały, że obcasy Meg zapadały się, a każdy krok był jak wędrówka po piasku.

Minęła sofę, na której starsza para zajadała się tartinkami z tatarem. Kobieta czułym gestem zdjęła okruszek z policzka partnera. Ciepło rozlało się w sercu Meg. Wyobraziła sobie siebie za kilkadziesiąt lat w takiej samej sytuacji z Erykiem. Nagle poczuła, jak jej kostka się wykręca, ale w ostatniej chwili przytrzymała się poręczy fotela. Drogę zatarasowali jej czterej postawni mężczyźni z cygarami, którzy przerzucali się wiborami, saronami oraz indeksami WIG. Dym wdarł się do nosa Meg.

– Przepraszam – zakrztusiła się, ale nikt jej nie usłyszał. Musiała obejść mężczyzn, chwiejąc się na niestabilnych obcasach.

Wszystkie postacie wydawały jej się tego wieczoru nienaturalnie olbrzymie, jakby była Alicją, która ugryzła kawałek pomniejszającego ciastka. Do tego coś koło niej bzycało, jakby osy.

Rozejrzała się wokół. Na środku salonu trzy dojrzałe kobiety w perłach naprzemiennie zasłaniały usta wypierścionkowanymi dłońmi. Przyjaciółki matki Eryka.

– ...zaręczyli się ledwie dwa miesiące temu... – dobiegło do Meg.

– Czy panna młoda jest...? – Jedna z kobiet zrobiła wymowny gest nad talią. Zabrzęczały złote bransoletki.

– Raczej nie... – Meg zobaczyła, jak mierzą ją kątem oka.

Wciągnęła brzuch. Jej obcasy znów niebezpiecznie się zachwiały, ale w ostatniej chwili złapała się ramienia kelnera, który wyrósł przed nią z tacą pełną kieliszków. Zadzwońnię szkło.



– Jeszcze cawy? – Zabrał jej do połowy opróżniony kieliszek i podał nowy. Bąbelki strzelały wysoko do góry.

– Chętnie. – Upiła duży łyk.

Z drugiego pokoju usłyszała śmiechy, a zaraz potem donośny głos narzeczonego. Poczowała lekkie ukłucie w żołądku. Dlaczego nie było go przy niej?

Zwłaszcza że to ich przyjęcie przedślubne, „mały” koktajl dla najbliższych, by się lepiej poznać na dzień przed uroczystością. Zwyczaj, który przyszła teściowa Meg zapożyczyła z amerykańskich filmów. Nie mogła odżalować, że nie ma osoby, która poprowadziłaby Meg do ołtarza. Za to pozwoliła im zaraz po ślubie ruszyć w miesiąc miodowy na Hawaje.

– To kto w końcu przyjedzie z twojej rodziny? – Kilka tygodni wcześniej przyszła teściowa wybierała koperty do zaproszeń ze stosu identycznych w odcieniu *écru*. – Ta jest gustowna, nie sądzisz?

– Piękna. – Meg przejechała palcem po złotym brzeżku. Wolą bardziej surowe formy.

– Myślałam też o welonie. – Teściowa zamyśliła się na chwilę, a potem energicznie przetasowała koperty. – Nie wiem, czy to dobry pomysł w twoim wieku...

– Eryk mówi, że welon  ukni.

– To, co mówi Eryk, uczucia uzielić na pół. – Kobieta mrugnęła do Meg. Jej skóra była tak ponaciągana, że na policzku pojawiło się dziwne wybrzuszenie. – Jeśli nie na cztery. Inaczej daleko nie zajdziesz, dziecko. Pomyśl jeszcze o tym welonie.

– Pomyślę. – Codziennie przed zaśnięciem myślała o momencie, w którym Eryk przed ołtarzem podniesie welon i złoży na jej ustach pocałunek.

– Stosowniejszy byłby fascynator. – Przyszła teściowa podała jej kopertę z papieru czerpanego, w którym zatopione

były srebrzyste pajetki. – Może ta? Eryk wspominał, że masz jakąś ciocię.

– Wolałabym białą.

– Wszyscy bardzo chętnie byśmy ją poznali. Jesteśmy ogromnie ciekawi. – Teściowa postukała kopertą o blat stołu.

– Powiem jej. – Wiedziała, że tego nie zrobi. Na samą myśl poczuła zimny prąd biegnący wzdłuż kręgosłupa. Kogo by miała zapraszać? I dokąd? Do tego wymuskanego domu w najlepszej dzielnicy, w którym pachniało pieniędzmi i kontaktami? Do tej rodziny, w której słowa „tradycja” i „nowoczesność” odmieniane były przez wszystkie przypadki?

Na wspomnienie tamtej rozmowy Meg wzięła głęboki wdech. W salonie pachniało świecami z duszną nutą gardenii, od której zawsze robiło jej się niedobrze. Powinna była zjeść przed imprezą, ale żołądek miała zaciśnięty w supeł. Samo przyjęcie jednak było dobrym pomysłem. Czowała, że dzięki niemu stanie się częścią tej rodziny.

– Moja nowa lala. – Brat Eryka pokazywał kolegom w telefonie coś, co równie dobrze mogło być zdjęciem samochodu, jak i dziewczyny.

– Złodzieje! Zdrajcy i złodzieje! – Wuj Eryka, łysy i opalony siedemdziesięcioletni amator maratonów i morsowania, wymachiwał kieliszkiem, jakby był dyrygentem. – Zablockowali mi kolejną inwestycję.

– Ta inflacja nas wykończy. – Ciotka Eryka, postawna właścicielka sieci luksusowych piekarni, wachlowała się zaproszeniem. – Ludzie nie mają na chleb.

– Niech jedzą ciastka! – Siostra pana młodego zachichotała i poprawiła na udach kreację z niedyskretnym logo.

– To ciocia mnie nauczyła, jak się obchodzić z mężczyznami. – Kuzynka Eryka, chuda szatynka w rogowych okularach, wskazała podbródkiem przyszłą teściową Meg. – Czasami

trzeba przymknąć oko. Dużo pochlebstw, małe kłamstewka i mamy receptę na udany związek.

– Przez taką mentalność wszystkie utoniemy w patriarchy. – Skrzywiła się druga kuzynka w okularach awiatorach i z wyraźnie zarysowanym brzuszkiem. – Lepiej daj mi namiary na waginoplastykę po ciąży.

– Śluby są takie urocze. Na bank będę płakał. – Tomasz, przyjaciel Meg, oparł się o ramię kelnera.

Od nadmiaru bodźców kręciło jej się w głowie. W tłumie gości wciąż nie mogła znaleźć Eryka. Znów poczuła ukłucie w żołądku. Przytłumione światło rozmywało kontury, nadając przedmiotom miękkie kształty, a z twarzy przybyłych, zwłaszcza pani domu, usuwając wszelkie emocje oraz oznaki starzenia się. Wszystko wydawało się Meg odrealnione. Przesunęła się wzdłuż ściany pomalowanej na głęboki odcień turkusu i otarła o miodowozłote, aksamitne fotele. Miała ochotę się za nimi schować, ale powstrzymała pokusę. Tuż obok stała fikuśna lampa niczym surrealistyczna palma – na złotej ptasiej nóżce, z abażurem z ufarbowanych na morelowo, strusich piór, które zlewały się z ozdobami na kapeluszu siedzącej obok nieznanym kobiecie. Po chwili rozpoznała babkę Eryka, najwyraźniej mocno zmienioną makijażem. Skinęła do niej nieśmiało, ale kobieta nie odwzajemniła uśmiechu. Meg pożałowała, że zostawiła telefon w kieszeni płaszcza. Mogłaby poudawać, że pisze esemesy. Podeszła do dębowej komody. W wazach pyszniły się kompozycje z ciętych kwiatów – dali i chryzantem, jakby żywcem przeniesione z niderlandzkich płócien. Schowała się w ich cieniu i przyjrzała im z przesadną uwagą. Na jednym z listków dostrzegła biedronkę. Co ona tu robiła? Zimą? Nie mogła pozbyć się wrażenia, że ta biedronka, jak zakłócenie z innego świata, była tu w jakimś celu. Jakby miała jej dodać otuchy. Zupełnie jak ona nie pasowała do otoczenia. Meg uśmiechnęła się

do owada, oblizując czerwoną szminkę, która – podobnie jak obcasy – miała jej dodawać pewności siebie.

Czy były jakieś sygnały? Niekoniecznie.

Gdy Eryk pojawił się w życiu Meg – a było to niedawno, zaledwie kilka miesięcy wcześniej – wszystko, co do tamtego momentu przeżyła, straciło kolory. Stało się wyblakłe, zwyczajne, banalne i poszarzałe. Eryk lubił wielkie gesty i spektakularne zagrania. Jeśli miała w sobie ograniczoną pojemność na komplementy, to on dawno wyczerpał jej życiowy limit. Czowała się przez niego widziana.

W modnych warszawskich knajpach drwili z drobnomieszczańskich konwenansów, wprawiając w konsternację kelnerów: dania jedli palcami lub odsyłali do kuchni gazpacho ze skargą, że jest zimne. W drogich sklepach wybierali najbardziej groteskowe kreacje, w których paradowali przed osłupiałymi kasjerkami. Ścigali się na miejskich hulajnogach i chodzili na imprezy do centrum, pijąc cytrynowe szoty o piątej nad ranem. Potem trwali w tygodniowej abstynencji, dyskutując nad czarkami z matchą o sensie życia. Czasem wystarczało jedno słowo i już się śmiali. Czasem nie potrzebowali żadnych słów, by się rozumieć. Eryk chętnie się przed nią otwierał i równie chętnie słuchał. Miała poczucie, że może mu się zwierzyć ze swoich najgłębszych sekretów i że nie zostanie wyśmiana. Nie żeby to robiła. Po co by miała to robić?

Ale chociaż od samego początku czuła, że pcha ją w jego kierunku siła, której nie odważyłby się opisać nawet sam Newton, to równocześnie ciężko było jej się pozbyć wrażenia, że coś w tej układance nie grało. Nie umiała tego nazwać. A może raczej – nie chciała?

Bo były też inne sygnały.

Telefon, który Eryk zawsze kładł wyciszony, ekranem do dołu. Wylogowywał się ze wszystkich kont na komputerze za każdym razem, gdy ich używał.

Jego chód – niezauważalnie zwiewny, jakby unosił się milimetry nad ziemią. Ale właśnie to sprawiało, że był tak świetnym tancerzem.

Ukradkowe spojrzenia, gdy mijali inne pary. Nie miała pewności, za kim się oglądał. Ale przecież wiedziała, jak bardzo interesowali go inni ludzie.

Niewybredna obelga, którą rzucił w ich kierunku pijany dresiarz rozdrażniony jego nienachalną męskością.

Gdy szli ulicą, nieśmiało muskała jego dłoń. On rzadko brał Meg za rękę.

Był piękny. Z tym ciałem wyrzeźbionym w sekcji wioślarskiej, w tych drogich ubraniach, w których nie było cienia ostentacji, pachnący drzewem agarowym. Czuła dumę, że idzie obok niego, że są razem. Miała wrażenie, że została wybrana. Przy nim każdy inny mężczyzna wydawał się absolutnie nieciekawym. Prosty, nieskomplikowany, bez klucza do jej kobiecej duszy.

– Nie spotkałem kobiety takiej jak ty. – Eryk nachylił się nad Meg i spojrzał jej głęboko w oczy, jak jeszcze nigdy do tej pory.

Poczuła łaskotanie w brzuchu, jakby od środka ocierały się o nią kocięta. I może dlatego zdecydowała się zadać to pytanie, bardzo cicho:

– Kochasz mnie?

Nachylił się nad nią jeszcze bardziej, milimetry od jej skóry, oczu, nosa, ust. Czuła zapach jego drzewnej wody kolońskiej, muśnięcia jego zarostu, ciepło jego oddechu. Przymknęła powieki.

– Jesteś dla mnie ważna. – Odsunął się i pogłaskał ją po twarzy.

Kocięta w brzuchu Meg zniknęły. Jednak tuż przed zaśnięciem przypominała sobie ten moment, przeżywając go jeszcze raz, jakby w zapętleniu. Może Eryk nie umiał mówić o miłości, ale ona, Meg, była dla niego ważna.



Czy były jakieś znaki ostrzegawcze? Być może.

Kiedyś odwrócił wzrok, gdy przypadkiem odpięty się guziki w jej koszuli. Wówczas ją to ujęło. Tłumaczyła sobie, że zamiast podążać za samczymi instynktami rodem z kalendarzy dla tirowców, Eryk wolał tajemnice i niedopowiedzenia. Zuchwała oczywistość kobiecego dekoltu była dla niego niczym deser podany przed daniem głównym. Tracił apetyt.

Raz, gdy wypił za dużo, ze łzami w oczach dopytywał ją, czy przyjmie go takiego, jaki jest, w całości. Rozczuliło ją to. Pomyślała, że pod wpływem alkoholu ujawnił się Eryk, którego nie знаła – niepewny siebie, podobnie jak ona sama.

Nie łączyła ich wielka namiętność, ale czy musiała łączyć? Cieleśność nigdy nie była sferą, którą Meg jakoś szczególnie eksplorowała. Nawet nie dlatego, że nie chciała. Po prostu nie bardzo miała ku temu okazję. Eryk kochał się z nią rzadko, zawsze po alkoholu i przy zgaszonym świetle. Czasem, by ułatwić mu sprawę, wydawała z siebie kilka udawanych jęków. Potem kończył już sam, w łazience. Ale kiedy po wszystkim chciała się do niego przytulić, przyjmował ją niechętnie.

– Po co ta uczuciowa ostentacja? – Odsunął się od Meg, kiedy próbowała wtulić się w jego klatkę piersiową. – Drętwieje mi ręka.

– Lubię się do ciebie przytulać... – Zamiast Eryka, objęła poduszkę.

– Dla mnie niepewność jest bardziej sexy. – Podniósł się na łóżku i sięgnął po koszulę.

– Może jednak zostaniesz na noc?

– Zostawmy coś sobie na później. – Pocałował ją w czoło i już go nie było.

Nawet na ich ślub, choć poprzedzony zaręczynami na dachu najwyższego budynku w mieście, naciskała głównie jego matka. Jednocześnie był spełnieniem wielkiego marzenia

Meg. O białej sukni, o obrączce, o „tak” przy ołtarzu. O normalności i rodzinie. Za nic w świecie nie chciała z tego rezygnować. Skąd mogła wiedzieć, że los, jak wiele razy wcześniej, zrobi to za nią?

Polub nas  
na Facebooku 

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl

## ŁĄCZENIE LUDZI W PARY TO ZARAZEM DAR I PRZEKLEŃSTWO

Czy w dobie aplikacji randkowych tradycyjna sztuka swatania ma sens? Meg Krajewska to marząca o miłości racjonalna singielka, która przejmuje rodzinne biuro matrymonialne, dotychczas prowadzone przez ekscentryczną cioteczną babkę Reginę. Nie wie jeszcze, że – jak wszystkie kobiety z jej rodu – otrzymała dar swatania... a także została obciążona pewną kłopotliwą klątwą. Czy uda jej się przechytryć przeznaczenie?

Pełna ciepła i humoru romantyczna opowieść o dwóch skrajnie różnych kobietach. O podszeptach intuicji, ziołowych wywarach, rozpalających zmysły zaklęciach, odkrywaniu kobiecości i akceptacji mocy, jaka drzemie w każdej z nas.

Matronaty:

 granice.pl  
czytelnia o literaturze

 NIE  
NACZYTYJANA  
z miłości do książek

 POP  
BOOK  
OWNIK

Nr 21000122

ISBN 978-83-8074-546-9



9 788380 745469



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł